№ 10.

Warszawa.

Dnia 26 Lutego (9 Marca)

1856.

Niedziela

5 POSTU.



KANTOR GŁÓWNY W DRUKARNI J. UNGER
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaśjuż prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszaw. płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wejrzyj łaskawie, prosimy Cię wszechmogący Boże, na lud Twój: aby z daru Twego rządzony był w potrzebach ciała, a w potrzebach duszy doznawał Twéj obrony. (Modlitwa kościelna na Niedzielę 5tą Postu).

Sposób udoskonalenia się moralnego.

—

W dwudziestym piątym roku życia (pisze sam Franklin o sobie) przedsięwziąłem zamiar dojścia do doskonałości moralnéj. Postanowiłem wykorzenić z siebie wszelkie błędy, jakie tylko mieć mogłem, tak ze złych naturalnych skłonności, jako i ze złych nawyknień, w późniejszém życiu nabytych.

Ponieważ umiałem, a przynajmniéj zdawało mi się, że umiem każdą rzecz złą od dobréj odróżniać— nie widziałem przyczyny, dla któréjbym *zawsze* nie miał czynić dobrze, a złego unikać. Wszakże, w wykonaniu, zadanie moje okazało się trudniejszém, aniżeli się z razu spodziewałem. Kiedy bowiem, uwagę moję skierowałem do wystrzegania się jednego błędu— częstokroć, mimo woli, popełniałem błąd inny— i przekonałem się niejednokrotnie, że siła przyzwyczajenia większą jest od siły rozumu. Ztąd przyszedłem do wniosku, że zamiar mój osiągnięcia moralnéj doskonałości, nie da się ogólnie i odrazu do skutku doprowadzić — ale tylko rozważnie, częściowo i powoli.

Zastanawiając się nad wszystkiemi przymiotami, jakie człowiek moralnie doskonały posiadać powinien, zebrałem ich trzynaście, które przy bliższém określeniu, uporządkowałem jak następuje:

1. *Wstrzemięźliwość.* Nie jedz, aż do ociężałości— nie pij, aż do utracenia przytomności.

2. *Milczenie.* Mów to tylko, co komu lub tobie przydać się może— unikaj rozmów bezpożytecznych.

3. *Ład.* Niechaj każda rzecz u ciebie, ma swoje miejsce, każda czynność swój czas przeznaczony.

4. *Stałość.* Przedsiębierz to, co powinieneś, miéj wytrwanie w wykonaniu tego, coś przedsięwziął.

5. *Oszczędność.* Wydatkuj tylko na pożytek innych, lub własny, tojest nie bądź rozrzutnym.

6. *Pracowitość.* Nie trać czasu; zajmuj się zawsze rzeczami pożytecznemi, unikaj wszelkich zajęć niepotrzebnych.

7. *Szczerość.* Nie używaj żadnych podstępów— myśli twoje niech będą prawe i słuszne— a czyny niech będą takiemi, jak myśli.

8. *Sprawiedliwość*. Nie szkodź nikomu, ani przez wyrządzenie mu krzywdy, ani przez zaniechanie dobrego, do którego jesteś obowiązanym.

9 *Umiarkowanie*. Nie unoś się: nie uważaj wyrządzonéj ci krzywdy za tak wielką, jak ona ci się być wydaje.

10. *Porządek*. Nie dopuszczaj żadnego nieporządku około twego ciała, odzienia, lub w mieszkaniu.

11. *Spokój*. Nie zrażaj się drobnostkami, to jest zwyczajnemi i nieuniknionemi przygodami codziennego życia.

12. *Czystość duszy*. Pamiętaj, aby w żadnym twoim kroku nie poniosło uszczerbku sumienie, spokój i dobre imie twoje, lub cudze.

13. *Pokora Chrześciańska*. Naśladuj Jezusa Chrystusa, Baranka Bożego.

Mając więc zamiar wpoić w siebie wszystkie te przymioty, osądziłem, że dla ułatwienia zadania, najlepiéj będzie naprzód, przez pewien przeciąg czasu, wszelkiemi siłami starać się o nabycie jednéj tylko z cnót powyższych; a gdy takową posiędę, skierować usiłowania do drugiéj, i tak następnie, aż dopóki nie nabędę wszystkich wymienionych tu cnót trzynastu.

Że zaś nabycie i utwierdzenie się w jednym przymiocie, o wiele mogło zyskanie cnót następnych ułatwić, w przedsięwziętéj więc poprawie moralnéj, zachowałem powyższy porządek, z następujących powodów: *Wstrzemięźliwość* umieściłem na czele, albowiem tylko przy niéj jest możliwą ciągła przytomność umysłu, jakiéj potrzeba do bezustannego nad sobą czuwania, iżby w każdym kroku, i pośród pokuszeń starać się złe nałogi wykorzeniać, a zamierzone przymioty nabywać.

W téj pierwszéj cnocie utwierdziwszy się, *milczenie* staje się łatwiejszém; drugie zaś miejsce wyznaczyłem mu dlatego, że milczenie wiele przyczynia się do nabywania wiadomości; więcéj bowiem korzysta, kto słucha, aniżeli kto mówi. Z kolei przypadający *ład*, trafnie czasem rozporządzając, ułatwia wykonanie wszelkich naszych zamiarów i postanowień. Nabywając przymiotu *stałości*, utwierdzamy się w postanowieniach, i wytrwamy w doprowadzeniu ich do skutku. *Oszczędność* i *pracowitość* zabezpieczając od długów, zapewniają dostatek, i niezależny byt. Zrobiłem więc sobie książeczkę, z 13 kartek złożoną, na czele każdéj wypisałem jednę z cnót tu wymienionych, i kartki podzieliłem na siedm równych kratek, odpowiadających siedmiu dniom tygodnia, w których to kratkach codziennie wieczór czarnemi znakami, pod właściwemi pozycyami, notowałem uchybienia, jakich się w ciągu dnia dopuściłem. Na wyćwiczenie się w każdéj cnocie, przeznaczyłem po jednym tygodniu.

I tak, w pierwszym tygodniu najbaczniejszą zwróciłem uwagę na utwierdzenie się we wstrzemięźliwości, inne zaś cnoty zwyczajnemu rzeczy biegowi pozostawiłem. Przez to, bez wielkiego nawet wytężenia uwagi, mogłem powstrzymać się od wykroczeń, i w ostatnich dniach tygodnia, ani jednego znaczku na kartce *wstrzemięźliwości* notować nie byłem zmuszony. Gdy w téj pierwszéj cnocie dosyć się utwierdziłem, w następnym tygodniu pracowałem nad nabyciem drugiéj, i tak daléj, aż do ostatniéj.

Tym postępując sposobem, całe ćwiczenie moralne odbyłem w ciągu 13 tygodni, czyli w ciągu jednego kwartału, a takich ćwiczeń powtórzyłem cztery, w ciągu całego roku.

Tak jak ogrodnik nie może odrazu z całego ogrodu wszelkiego pozbyć się chwastu, ale potrzebuje każdy zagon pokolei z zielska wypléć; tak i ja stopniowo, i pokolei z każdego złego nałogu się oczyszczałem, i z wielkiem przekonałem się zadowoleniem, porównywając wszystkie kwartalne moje dzienniczki, że każdy następny coraz mniéj zawierał czarnych znaczków, aż nareszcie po kilku latach, byłem tyle szczęśliwym, iż cała moja kwartalna książeczka, na każdéj kartce zupełnie była czystą.

Jeżeli w ciągu mego życia dorobiłem się majątku, znaczenia i poważania u ludzi, mówi jeszcze Franklin, wyznaję, iż najwięcéj winienem to moralnemu udoskonaleniu, do jakiego przez powyższe ćwiczenia, przy błogosławieństwie boskiém, dojść zdołałem. Codziennie, i coraz więcéj przekonywałem się, i bogdajby każdy w tém przekonaniu się utwierdził: naprzód, że złe, nie jest dlatego tylko złém, iż jest zakazaném, ale dlatego właśnie jest zakazane, że samo przez się jest złém; powtóre, że niekoniecznie to dobre, co pożyteczne, a zawsze to pożyteczne, co dobre.

Powyższy sposób moralnego udoskonalenia się przez B. Franklina podawany, tém godniejszy naśladowania, i tém śmieléj może być zale-

canym, iż z historyi kościelnej przekonywamy się, że na wiele lat przed Franklinem, podobne ćwiczenia moralne przez prawowiernych katolików dopełnianemi były, i skutkiem tych ćwiczeń wielu z nich dochodziło do znakomitéj doskonałości. Rady więc B. Franklina, właściwie czerpane są i oparte na świętéj nauce naszego Kościoła.

Wieczór pod topolą.

Spójrz na ten domek; jak cichy spokojny,
Jak miła cisza wkoło go otacza!
To Pan Wszechmocny tak szczodry i hojny
Pobłogosławił znojowi oracza!
A poza domkiem tuż ogródek mały,
Cienisty, skromny, o! jakże on miły.
Chruścianym płotkiem otoczony cały,
Malwy, stokrótki tylko go zdobiły,
Wązkie ścieżynki i altanka w cieniu,
Gaik z agrestu, trocha bzu, kaliny,
W końcu ogródka, w samém zakończeniu
Stała topola, z ławeczką z brzeziny.
Tutaj bywało, wśród dnia pogodnego,
Gdy złote słonko za góry się kryło,
Wśród szumu wiatru lekko powiewnego,
Całe domostwo pod nią się schodziło:
Naprzód gospodarz, potém żona, matka,
Dziatki kochane obsiadły go w koło,
I jego wierna, poczciwa czeladka;
A on podniósłszy poorane czoło
Prawi im wszystkim: jak cnota jest święta,
Jak miła Bogu jest szczera pobożność,
Jak On o każdym cnotliwym pamięta;
Jak Mu obmierzłe zepsucie, bezbożność.
A daléj mówi: „kto w czoła swym pocie,
„Pracą rąk własnych siebie utrzymuje,
„Kto litościwy i wytrwały w cnocie,
„Ten sobie wieczne zbawienie gotuje.
„Kto własne dzieci uczy poczciwości,
„Karci złe czyny i broni złéj mowy,
„Kto ich przyucza z młodu do skromności,
„Ten ma przed sobą raj szczęścia gotowy.
„Jakże mu miło, gdy wiekiem schylony,
„W dorosłych dzieciach podporę znajduje;
„Od nich w starości, w chatce przytulony,
„Oh! cóż za rozkosz w swém sercu uczuje!
„Bo cóż milszego dla starego człeka,
„Jak widzieć syny w pracy i cnotliwe?
„Jakże spokojnie swojéj śmierci czeka,
„Gdy jego dzieci dobre i szczęśliwe!
„Chociaż to prawda: nie zawsze cnotliwi,
„Tu, na téj ziemi, odbiorą nagrodę;
„Lecz za to w Niebie na wieki szczęśliwi,
„Tam raj mieć będą, tam wieczną swobodę.
„Tak więc widzicie, zawsze na téj ziemi,
„Dobrym, szlachetnym, pobożnym być trzeba,
„Bo gdy za życia będziem cnotliwemi,
„Pewno po śmierci pójdziemy do Nieba!“

* * *

Tak swéj czeladce ów gospodarz gwarzy,
A każdy jego słowa zapamięta,
Każdemu w duszy zostaje myśl święta....
Oh! jakże mało takich gospodarzy!

Obrazek znad Wisły.

(ZDARZENIE PRAWDZIWE.)

„A nie możesz to iść po piasek do Wisły? czy znowu czekasz, aż woda przybierze, kiedy oto mógłbyś jeszcze z kilkanaście trojaków zarobić?“ mówiła Marcinowa wdowa po wyrobniku, do swego synala Stasia, który zjadłszy miskę kaszy, i oblizawszy łyżkę po sam trzonek, a potém wyciągnąwszy się kilka razy i ziewnąwszy, zabierał się w najlepsze do drzemki.

— „Ba, a z czemże pójdę, odparł chłopak, krzywiąc się, kiedy mi Wojtuś rozpruł mój worek, za to, żem mu wczoraj na Krakowskiém Przedmieściu podstawił nogę, jak zawołali nas z piaskiem. On się rozciągnął na ziemi, a ja poleciałem, i piasek sprzedałem. Oto go widzicie, dodał, i wydobył zpod ławki worek zupełnie u dołu rozpruty.

— „A to urwis z tego chłopaka, rzekła Marcinowa, porywając worek z gniewem; zawsze ja mówiłam, że z tego łotra nic dobrego nie będzie, ale cóż, kiedy Maciejowa nie chce mi wierzyć, i nie uważa na jego psoty i rozpustę. To mówiąc Marcinowa, podeszła do okna, które w miejsce kilku szybek, zaklejone było papierem, wzięła z niego pudełko, a dobywszy okulary, wsadziła je na nos i zabrała się do zszycia worka.

Stasio kontent z chwilowego zatrudnienia matki, znowu się przeciągnął, znowu głośno ziewnął, i dopadłszy ławki, w najlepsze chrapnął.

Izba Marcinowéj, o któréj mówimy, znajdowała się w starym, drewnianym i nieco już pochylonym domku, położonym nad brzegiem Wisły; rozdzielona była na dwoje przegrodą, po-

za którą mieściła się druga komornica, tojest właśnie Maciejowa, również biedna wdowa po starym żołnierzu, a matka owego rozpustnego Wojtusia, co to pruł swoim towarzyszom worki i zakrawał, według słów pani Marcinowéj, na wielkiego łotra.

Obie te wdowy żyły z sobą w zgodzie, chociaż na jednym gotowały kominie, a jeżeli jaka zwada zaszła między niemi, to pewno powodem byli do niéj chłopcy, kiedy się o piasek, albo o łyżkę strawy poczubili z sobą.

Jakkolwiek chłopcy ci mało bardzo z sobą różnili się wiekiem, jednak pod względem usposobień nie zgadzali się wcale. Stach był powolny, ciężki i leniwy, jednèm słowem, niemrawa; Wojtuś zaś przeciwnie, sprytny, wesoły, a do tego zawołany psotnik. Kiedy przyszła niedziela, albo jakie uroczyste święto, wtedy Wojtuś na Denasach główny rej wodził pomiędzy wszystkimi chłopcami, ściągającymi zwykle na te góry, dla grania w *wojnę*, *piłki* lub *guziki* i t. p. zabawy. Chociaż szczupły i mały, ale nadzwyczajnie śmiały i zwinny, nie dał się żadnemu barczystemu chłopcu, i choć się nieraz za kołnierze chwycili, to jak Wojtuś podciął go z tyłu nogą, a w pierś dał mu kuksa, to już tamten jak długi rębnął się o ziemię. Za całą spuściznę po ojcu dostała mu się stara ładownica i skórzany pendent, które zawieszone na ścianie pod małym obrazkiem Częstochowskiéj Maryi Panny, przypominały mu ciągle jego ojca, i podtrzymywały ową krew żołnierską, która w nim grała. Na Denasach też dobił się nazwy *żołnierza*, i pod tem imieniem, tak jak Stach pod imieniem *niemrawy*, również na Denasach zdobytém, znany był pomiędzy wszystkimi rówiennikami swoimi, piaskarzami.

Można więc sobie łatwo wyobrazić, jak Wojtuś pomiatał Stachem, i kiedy wracali z takiéj niedzielnéj wyprawy, zawsze Stach musiał mieć oderwany kołniérz od sukmanki, lub kozyrek od czapki, składając całą winę na Wojtka.

Obie tedy wdowy schodziły się podówczas, zpoczątku się waśniły, bo matka broniła, gdy druga potępiała rozpustnego chłopaka, a w końcu pogodziwszy się z sobą, ubolewały razem nad losem swych dzieci, a szczególniéj też nad owym Wojtusiem, który najmniejszéj nie obiecywał poprawy.

Zdarzyło się, że dnia jednego Marcinowa zaniemogła, a w kilka dni potem tak zapadła na zdrowiu, że już nie wstawała z łóżka. Niemrawa Stacho, zarabiał jak mógł, wołając po ulicach: „piasku białego wiślanego!“ ale rzadko z dobrym powracał plonem, bo żwawsi od niego, wyprzedzali go ciągle w sprzedaży. Zwolna zatem zaczęły się wyczerpywać zapasy biednéj Marcinowéj, bo już nie mogła ani brać do prania, ani do szycia, a tem samem przysparzać grosza, i niezadługo nędza wkradła się do izdebki.

Wprawdzie Maciejowa dzieliła się, jak mogła, ze swoją sąsiadką, wspólną komornicą, ale i ona nie opływała tak obficie we wszystko, aby swym własnym i Wojtusia zarobkiem, mogła dwie rodziny opatrywać i żywić.

Było to w miesiącu Czerwcu, w sam dzień uroczysty Świętych Apostołów Piotra i Pawła. Stacho siedział w domu przy schorzałéj matce, Maciejowa przytuliwszy się w kącie na zydlu, wpatrywała się w chorą swoję kumę, i widać na jéj intencyę odmawiała pacierze; a Wojtuś? o! Wojtuś, cóż jego obchodzą cudze dolegliwości, kiedy to dzień świąteczny, dzień uciechy piaskarzy, dzień Denas; a cóżby cały rój chłopców porabiał bez niego, ktoby wojną dowodził, lub smergał kamieniami na Wisłę, albo zrywał czapki małym i ciekawym żydkom, ukrywającym się za węgły lub płoty, dla przypatrzenia się wyprawianym przez piaskarzy hecom.

Druga już z południa dochodziła godzina na Zamkowym zegarze, gdy nagle drzwi izdebki Marcinowéj skrzypnęły i wpadł zadyszany Wojtuś, a kładąc z dobrem przybiciem ręki, złoty pieniądz na stole, zawołał: „macie matko Marcinowo, to dla was, boście chorzy, a jak więcéj dostanę, to i mojéj matce udzielę.“

„A ty łotrze! krzyknęła Maciejowa, zrywając się z zydla: „a tyś zkąd wziął to złoto?“ lecz nim dokończyła słów, już Wojtuś smergnął, że aż się za nim kurzyło na rozkoszne Denasy, bo rzeczywiście dotąd tam nie był, gdyż pieniądz złoty pomięszał mu szyki.

Widok złotego pieniądza, zaniepokoił strasznie obie dobre, biedne i poczciwe kobiety, a chora Marcinowa, unosząc głowy z posłania, i przypatrując się sztuce złota, rzekła: bądźcie dobréj myśli moja sąsiadko, ja tego nie ruszę, dopóki się nie przekonacie, jakim sposobem dostało się do Wojtusia; a jeżeli to zły nabytek, to się postaracie powrócić go temu, do kogo należy.

Na te słowa *zły nabytek*, straszna myśl kra-

dzieży, przesunęła się po głowach kobiet, żadna z nich jednak nie zdradziła téj myśli najmniejszém słowem; tylko Maciejowa, wspomniawszy sobie ś. p. nieboszczyka żołnierza, i ową ładownicę wiszącą na ścianie, jako jedyną po nim spuściznę, musiała widno zapłakać, bo gruby fartuch do oczu poniosła, i coś długo, ukrytą twarz w tym fartuchu trzymała.

W miarę upływania godzin, wzrastała ciekawość kobiet, złoty pieniądz leżał ciągle na miejscu nietknięty, czasem tylko łysnął nań okiem ospały Stacho, bo mu tak błyszczał i świecił, że nie mógł oczu zamrużyć; aż po długim wreszcie namyśle, obie wdowy zgodziły się na to, aby wysłać Stacha po Wojtusia, i sprowadzić go zaraz do domu.

Dobra ta myśl jednak nie odniosła żadnego skutku, bo jakkolwiek Stacho dopełnił zlecenia, wrócił jednak skrzywiony, i z połą od kapoty w ręku, a którą utracił w pierwszéj zaraz rozprawie z Wojtusiem, chcąc go ściągnąć do domu.

Maciejowa przyrzekła wyręczyć chorą, a niechcąc gwałcić dnia świątecznego, odłożyła przyszycie poły do świtu, i znowu głuche milczenie całą izbę zaległo, a gdy dobry zmrok zapadł, zmachany Wojtuś wrócił do domu, aby spocząć po trudach.

Na widok jego, obie kobiety zarzuciły go pytaniami, Stach przycupnął przy łóżku, nadstawiając ucha, ale Wojtuś nic więcéj im nie powiedział, jak to, że mu ten pieniądz dała jakaś piękna i bogata Pani, aby go oddał choréj Marcinowéj. Rozumie się, że takie tłumaczenie, nie mogło zaspokoić kobiet, bo skąd piękna pani, mogła wiedzieć o wdowie, a tem bardziéj Wojtusia za posłańca obierać. Dlatego też Maciejowa użyła praw matki, wyczubiła porządnie, co się zowie łotra, i zagroziła mu w dodatku czemś więcéj, jeżeli się zaraz nie przyzna do złego. Ale niepoprawny chłopak szlochając i wrzeszcząc, ciągle upierał się przytem, że pieniądz ten dostał od dobréj jakiejś Pani.

Na tem przeto skończyła się cała ta sprawa, upłynęła noc, a choć ranek zabłysnął i słoneczko już wstało, złoty pieniądz leżał nietknięty na stole, i byłby przeleżał znowu do zachodu słońca, a potem do wschodu, i tak ciągle daléj, gdyby następująca okoliczność nie zaszła.

Wojtuś uprzedziwszy wszystkich rannémwstaniem, wziął próżny worek od piasku pod pachę, przeżegnał się, jak zwykle, przy wyjściu za próg izdebki, i ruszył ku Wiśle, nabić białym wiślanym towarem swą sakwę; gdy tymczasem Maciejowa, dotrzymując obietnicy, zabierała się do kapoty Stacha, który sapał i drapał się w głowę, nie mogąc się oprzéć ospalstwu, pomimo pory do wstania. Nic więc dziwnego, że już było około 10éj rano, kiedy mały niemrawa wyszykował się w drogę, ale zaraz na progu przy wyjściu z domu, nagle się zatrzymał, otworzył gębę, i patrzał się, jak w tęczę, w jakąś Panię, która zajechała karetą przed drewniany domek.

—„Czy tu mieszka Marcinowa, biedna i chora wdowa? zapytała Pani wysiadłszy z karety. Ale nasz Stacho nic Jéj na to nie odrzekł, bo czy z podziwu, czy z przelęknięcia, zapomnia języka w gębie.

— Czy tu, mój chłopczyku, mieszka Marcinowa, chora wdowa? powtórzyła Pani, głaszcząc Stacha pod brodę dla ośmielenia go.

— A juści — wybąkał nareszcie chłopiec, a Pani dodała: to zaprowadź mnie do niéj, i weszli do izby.

Przybycie téj Damy, rozwiązało odrazu, wczorajszą zagadkę; rzuciła okiem po biednéj izdebce, w środku której stanęła otoczona Maciejową, i skubiącym worek Stachem; ale jakież było jéj zadziwienie, gdy ujrzała na stole ów pieniądz złoty, który wczoraj przez nieznanego jéj chłopca przysłała dla wdowy.

Wojtuś bowiem rzeczywiście, ciągnąc zwyczajem swoim na Denasy, spotkał tę Panią, jadącą karetą, i gdy powóz zatrzymał się przed jednym z domów, a ona wysiadła, spostrzegła go stojącego w bliskości powozu. Szczerość i otwartość, która malowała się na jego twarzy, zwróciła uwagę Pani, zaczęła więc z nim rozmowę, i od niego to dowiedziała się o biedzie Marcinowej, a dawszy mu pieniądz złoty, ażeby jej odniósł, przybyła nazajutrz sprawdzić i dowiedzieć się, czy chłopiec nie kłamał?

Obie wdowy słysząc to, uroniły łzę żalu, że tak nieludzko obeszły się z Wojtusiem za jego poczciwość i dobre serce, a Bóg wynagradzając postępek jego, zesłał dla nich Anioła w téj dobréj Pani, która nietylko nie zapomniała o owych dwóch matkach, ale i losem ich dzieci szczerze się zajęła.

I odtąd oba porzucili piaskarstwo, a oddani do rzemiosł, wyszli na ludzi. Wojtuś, a na teraz już Wojciech, jest dziś wybornym, co się zowie czeladnikiem, a Stach mając przed oczyma

wzorowy z niego przykład, przestał ziewać i sapać, i wstąpił w ślady swego towarzysza.

Gdzie więc poczciwość i dobre serce, tam i Bóg rozciąga swą opiekę; chociaż dziecina jest figlarną i psotną, nie chciejmy jéj potępiać, ale raczéj starajmy się wskazać do dobrego drogę.

Wiadomość historyczna o Kartoflach.

Długo twoi przodkowie— wyznać się odważę,
Sławniejsi wojownicy, niźli gospodarze,
Obeznani ze sławą, niźli z pracą twardą,
Na płód tak godny starań, patrzyli z pogardą.

Ziemiaństwo Polskie
Pieśń 1a *Stronnica* 14.

Niewyczerpana w swoich darach Opatrzność dała nam wiele roślin, których części używane na pokarm, ochraniają ludzkość od głodu, stając się pożywnym i zdrowym pokarmem. Do znanych każdemu roślin rozplenionych ręką ludzką, należą kartofle, zwane inaczéj ziemniaki, ziemne jabłka, lub perki. To ostatnie nazwanie jest najstosowniejsze, albowiem z Peru, z Ameryki były najprzód do Europy przywiezione. Sprowadził je Drakie żeglarz angielski, urodzony w r. 1545, a zmarły w r. 1596. W Szkocyi, Anglii, Holandyi i Szwajcaryi naprzód je uprawiać zaczęto, zkąd się po całych Niemczech rozniosły.

Roślina ta z łatwością się rozmnaża w każdym klimacie, zbyt ostrego jednak znieść nie może. Kartofel ma tę wyższość nad innemi, że prosto wydobyty z ziemi może być używany, gotowany w wodzie, lub pieczony w gorącym popiele. Są kraje, gdzie kartofle stanowią jedyną żywność całego narodu, bez chleba i mięsa żyją mieszkańcy, samemi kartoflami, a mała ilość soli stanowi ich przyprawę.

W końcu panowania Augusta II poznano dopiero w Polsce kartofle, które sprowadzili koloniści przybyli z Saxonii, osiedli w okolicach Warszawy, a szczególniéj na Kępie Królewskiéj (Saskiéj). Pierwsze owoce téj rośliny dawano jako osobliwość na stołach możnych, i sprzedawano na funty. Upowszechniły się bardziéj około roku 1759 pod Augustem III, przez Prusaków, którzy odbywając przechody po tutejszym kraju, pomiędzy zapasami żywności prowadzili z sobą i kartofle.

Po ogrodach Warszawy sadzili je naprzód cudzoziemcy, osiedli na Lesznie i Ogrodowéj ulicy, od tych dopiero dostali ogrodnicy nasi. Z Warszawy, równie jak i z innych miast, będących bliżéj granicy pruskiéj, zaczęto po wiejskich ogrodach, a późniéj na polach sadzić. Pierwsze kartofle u nas były koloru czerwonego, podłużne i średniéj wielkości, późniéj nastały inne gatunki. X. Krzysztof Kluk kanonik Kruświcki, proboszcz Ciechanowiecki zachęcał pierwszy, w swojem szacownem dziele o *roślinach*, do uprawy i upowszechnienia kartofli. Palenie wódki z kartofli już znano w drugiéj połowie panowania Stanisława Augusta.

Tyzenhaus Antoni, Podskarbi Litewski za Stanisława Augusta Króla Polskiego, pierwszy na Litwę sprowadził winiarza (tak nazywano u nas palaczy wódek) z Niemiec, lecz palenie wódki nie było jeszcze tak upowszechnione jak obecnie.

Po roku 1796 już w znacznéj ilości sadzono u nas kartofle, a tém samém i gorzelnie w większéj masie tego ziemiopłodu, na wyrób spirytusowy zamieniały. Wedle wykazów urzędowych wypalono na wódkę kartofli w całém królestwie w roku 1852/3 czetwierti 1,952,933 czyli korcy 3,200,368; w r. 1853/4 czetwierti 1,150,722 czyli korcy 1,885,745; w r. 1854/5 czetwierti 164,776 czyli korcy 270,026;.— Z postępem gospodarstwa, i przy rozszerzeniu pism rolniczych wiele wyrobów uskuteczniać poczęto z kartofli: krochmal, kaszę, mąkę, a późniéj delikatne ciasta, syropy, i wiele innych.

Błogosławmy pamięć tych ludzi, którzy rozkrzewili tak użyteczną roślinę, i dziękujmy zarazem Opatrzności, że nas nie przestaje hojnemi opatrywać darami.

Pojmijcie wielką mądrość i cudowność Rządzącego światem: mała ilość kartofli, nie przechodząca ćwierci (albowiem tylko tyle po raz pierwszy przywieźli do Europy, ile jeden człowiek udźwignąć zdołał) przywieziona przed 200stu laty do Europy, tysiące rąk zatrudnia, i miljony żywi ludzi i zwierząt.

Nie odkładaj na jutro.

Ignacy Parafiański, młody jeszcze człowiek był bardzo zdatnym majstrem mularskim. Ożenił się bogato, został ojcem kilkorga dzieci, i zdawało się, że szczęście już go nigdy opuścić nie miało. Mimo to jednak przyszedł do ostatniéj nędzy,

po niedługim czasie. Jakże to być może? zapyta nie jeden—chyba upijał się, lub trwonił pieniądze na zbytki niepotrzebne?—Nie, kochani moi czytelnicy; Ignacy był skromnym w używaniu napojów, nikt go nie widział pijanym, zbytków nie robił żadnych, ani sam, ani jego żona, poczciwa i oszczędna gospodyni—żyli porządnie, ale nie nad stan. Ignacy na żadne nie wybiegał hulanki; wszystek czas wolny od pracy w domu przepędzał z żoną i dziećmi. Cóż go zatem gubiło?.... Oto, lubił wszystkie czynności odkładać *na jutro!* „Trzeba będzie *jutro* iść za kupnem wapna. — *Jutro* muszę zobaczyć się z panem S**, może mi odstąpi cegły. *Jutro* zapłacę czeladzi, bo mi się nie chce iść tak daleko do fabryki.“ Oto były zwyczajne i ulubione jego zdania; a tym czasem wapno inni rozkupili majstrowie; cegłę pan S** wczoraj właśnie bardzo tanio sprzedał żydowi, potrzebując pieniędzy; czeladź niezapłacona, robotę porzuciła, i fabryka stanęła, dopóki nowych nie znalazł najemników. A tak *jutro* bezprzestanne za sobą pociągało straty. Wszystko to jednak niedostateczną było dlań nauką. Pewnego razu podjął się wielkiéj entrepryzy, zawarł kontrakt na piśmie, wystawił całe swe mienie na kaucyę, zobowiązując się na termin przedsięwzięte ukończyć budowle; tymczasem jak zaczął wszystko do *jutra* odkładać, to tego brakło, to tego niedostawało, fabryka ciągle się zatrzymywała wśród najpiękniejszéj pogody, późniéj nastały deszcze, robić już nie można było; warunki kontraktu niedotrzymane, kaucya przepadła, i od jednego razu, człowiek przedtem zamożny, a nawet bogaty, został zrujnowanym do szczętu, a przez swą opieszałość, pociągnął do zguby wraz z sobą, żonę i niewinne niemowlęta. Poszedł jako najemnik robić do innych majstrów, lecz zawsze był leniwym i na późniéj odkładającym, aż w końcu zasłabł; i jeszcze staranie o swém zdrowiu *do jutra* odkładając, umarł bez doktora i ratunku, zostawiwszy w nędzy najokropniejszéj żonę, i czworo dziatek sierotami. Nigdy nie odkładajmy nic na późniéj:—*dzisiaj* do nas należy, ale któż kiedy był panem *jutra*?

Rozmowa przy pomniku Kopernika.

Było to podczas Bożego Ciała. Oczekując procesyi, staliśmy przy Koperniku, patrząc się na dokończenie ołtarza, gdy wtém z pewną nieśmiałością zbliżył się do nas młody jakiś człowiek, o ile się zdawało trudniący się rzemiosłem, i rozpoczął rozmowę z moim przyjacielem, mniéj więcéj następującéj treści:

— Przepraszam pana, że się zapytam, czy Kopernik, któremu nasi postawili ten pomnik, był także królem polskim?

— Albo to tylko królom stawiają posągi? Ten właśnie człowiek był za życia skromnym i cichym duchownym, zaledwie kanonikiem, a jednak narody o niego się dziś kłócą i pomniki mu stawiają. Bo trzeba ci wiedzieć, mój przyjacielu, że Niemcy, a szczególniéj Prusacy, powiadają, że on do nich należy; krzyczą po świecie, przekręcają dowody, jakie pozostały po jego rodzinie, słowem, gwałtem chcą sobie przyswoić Kopernika, który i urodził się w Toruniu, mieście naówczas polskiém i dopiero późniéj do Prus przyłączoném, i całą swą rodzinę miał w Polsce, i sam się za polaka poczytywał, jak tego są dowody piśmienne z czasów, gdy bawił we Włoszech, po skończeniu nauk w Krakowie.

— A skoro są tak jasne dowody, to dlaczegóż Niemcy nie chcą się dać przekonać, cóż im z tego przyjdzie?

— Widzisz mój przyjacielu, wielkich ludzi nie wiele żyło na świecie, a takich jeszcze jak Kopernik, bardzo było mało. Piękna to ozdoba dla ziemi, co wydała człowieka, którego cały świat wielbi i zna, dlatego szczycić się możemy z takiego rodaka, który tak piękny blask na nasz kraj rzuca. Niemcy chcieliby do swoich zaliczyć tak wielkiego człowieka; wszak wiesz, że zawsze za tém się uganiamy czego nam brakuje?

— Oj! prawda Panie, ale co on trzyma w ręku? bo że w długiéj sukni ubrany, to zapewne dlatego, że to była duchowna osoba?

— Muszę ci powiedzieć, że Kopernik nauczył ludzi, jak to na tym świecie wszystko jest urządzone, i właśnie trzyma on w ręku narzędzie zbudowane według jego nauki, jako oznakę tych wielkich myśli, które ludziom pozostawił. Lecz mój przyjacielu, robisz ty mnie pytania, odpowiedzże z kolei na moje. Jak ci się zdaje, czy ziemia się obraca około słońca, czy słońce naokoło ziemi?

— Chyba Pan chce zemnie żartować; boć każdy widzi, że słońce po niebie się toczy naokoło ziemi.

— Otóż powoli moj przyjacielu! naprzód ci po-

wiem, że nie lubię z nikogo żartować, ale rozmawiając, każdy ma prawo się zapytywać. I dlatego zapytałem się ciebie, żeby ci powiedzieć, że to, co my wszyscy widzimy, i co ludzie od wieków widzieli, utrzymując, że słońce krąży naokoło ziemi, jest fałszem. Ten właśnie człowiek całe swe życie poświęcił na pracy, na odszukaniu niezbitych dowodów, świadczących o błędnem pojmowaniu obrotu słońca, i czyż taki człowiek nie godzień uwielbienia, który nas nauczył o prawdziwéj budowie świata? Bóg w swém miłosierdziu, wybrał pokornego sługę, kapłana polskiego, aby ten całemu światu ogłosił mądrość Jego ręki.

— Trudno to pojąć, żeby słońce, które się posuwa po niebie, miało stać koniecznie?

— Nasz wzrok, słuch, często nas zwodzą, i przez to utrudniają tylko prawdziwe zrozumienie rzeczy; wszak jak jedziemy koleją, to się zdaje, że pola, drzewa, przesuwają się przed naszym wzrokiem; podobnie jak płyniemy rzeką, brzegi, zdaje się, uciekają za nas; a jednak i pole i brzegi stoją niezwruszenie, a my tylko z miejsca na miejsce się przenosimy, tak samo dzieje się z ziemią. Patrząc na słońce, zdaje się, że ono krąży naokoło ziemi, i dlatego mówimy: *słońce wschodzi, zachodzi, podniosło się wysoko* i t. p., a to tylko złudzenie, to tylko nasza ziemia obracając się na około swéj osi w ciągu 24 godzin, raz jedną połową, drugi raz inną zwrócona jest ku słońcu. Ta kula pozłocona w środku przyrządu, który Kopernik w ręku trzyma, wyobrazać ma słońce, a ta mała kulka ciemna, ma być ziemią.

A co to znaczy ten pas, naokoło tej złotej kuli?

— Przedstawiać ma drogę, po któréj ziemia, kręcąc się naokoło swéj osi, oblatuje słońce, w ciągu całego roku. Zebyś to lepiéj zrozumiał, mój przyjacielu, wystaw sobie, że Kopernik jest słońcem, które nas swem blaskiem oświeca, a my ludzie ciemni obchodzimy go, kręcąc się w kółko, jak podczas tańca, co go *walcem* zowią. Lecz, żeby się lepiéj do prawdy przybliżyć, przypuśćmy, że na obejście tego pomnika używamy całego roku, a na jedno okręcenie 24 godzin; wtedy oczywistą będzie rzeczą, że twarz nasza przez 12 godzin będzie oświetlona, a przez pozostałe 12 ciemna; tojest przez 12 godzin widzieć będziemy nasze słońce, a przez pozostały czas pozbawimy się jego blasku.

Takież same ruchy odbywa nasza ziemia naokoło słońca.

— Musi to tak być, kiedy się wszyscy na to zgadzają; jednakowoż składniéjby było i zrozumieć, i pokazać, że słońce obraca się naokoło ziemi; i ludzie, co przed Kopernikiem żyli, musieli mieć swoje racye, kiedy tak długo świat był przekonany o ruchu słońca.

— Słuszna twa uwaga. I przed Kopernikiem ludzie nad tem myśleli, ale ich dowody po głębszem rozpatrzeniu okazały się błędne. Gdybyś np. wziął kulę, tak wielką, jak przednie koło u powozu, i związał ją nitką z ziarnkiem grochu, to jak ci się zdaje, czy łatwiej pojąć, że kula utrzyma przy sobie ziarnko kręcące się na nitce, czy że, ziarnko utrzyma przy sobie kulę?

— No prawda; ziarnko mogłoby biegać tylko naokoło takiéj massy, a samo nie utrzymałoby kuli, lecz przez nią byłoby porwane.

— Tak samo jest na świecie. Słońce stosunkowo jest tak wielkiem, jak owe koło, a ziemia jak ziarnko grochu; dlatego ziemia tylko obracać się może naokoło słońca. A gdybyś jeszcze wiedział, że na świecie wiele jest takich ciał, jak nasza ziemia, które nazywają planetami, a wszystkie w porównaniu do słońca są bardzo małe; jedno jak ziarnko rzepaku, drugie jak główka szpilki, inne jak ziarnko piasku, a największe są jak pomarańcza, wiśnia i śliwka, i gdybyś wiedział, że wszystkie biorą światło od słońca, jak my mają dnie i noce; to wówczas zgodziłbyś się, że niepodobna przypuścić, aby nasza ziemia mało co znacząca na świecie, była głównym punktem, i żeby na około niej tak ogromne massy regularnie jak w zegarku obracać się mogły.

— Prawda Panie, musiał to być wielki człowiek ten Kopernik, kiedy sam pierwszy wszystko potrafił ogarnąć i wyjaśnić.

Widząc, że nasz towarzysz nabrał ochoty do gawędy, a procesya już z kościoła wychodzi, przerwałem rozmowę temi słowy:

Tak, mój bracie, Kopernik był wybrańcem boskim; dziękujmy więc Niebu, że wybór padł na naszego rodaka. Westchnijmy też za jego duszę, bo ten wielki człowiek z przyczyny swych odkryć i myśli za życia doznał wielu zgryzot i cierpień.

W drukarni J. Unger. — Wolno drukować.—Warszawa d. 26 Lutego (6 Marca) 1856 r. — Starszy cenzor *F. Sobieszczański*.